

# „Spisek Mątyldy“ Kazimierza Barnasia w Teatrze Ziemi Gdańskiej

Michał Misiorny twierdzi w „Literach”, że Teatr Ziemi Gdańskiej należy zamknąć, gdyż poziom artystyczny tego teatru — jego zdaniem — jest żenujący. Dyrektor Walerian Lachnitt w odpowiedzi ogłasza w programie przedstawienia „Spisek Mątyldy” kilkanaście entuzjastycznych wypowiedzi widzów, którzy nadesłali je na teatralny plebiscyt, mający ocenić i wybrać najlepsze przedstawienia dwóch ostatnich sezonów. A prawda chyba leży po środku. Warunki, w jakich pracuje Teatr Ziemi Gdańskiej są trudne i nieporównywalne wprawdzie z warunkami pracy choćby Teatru „Wybrzeże”, ale entuzjazmować się osiągnięciami artystycznymi tego pierwszego, to wyraźne nieporozumienie. Tym niemniej rola kulturalna, jaką spełnia na gdańskiej prowincji, jest wcale nie mała, a poważne potraktowanie wniosku, wysuniętego w „Literach”, przyniosłoby niepoweto-

waną szkodę kulturze miast, miasteczek, osad i wsi Kaszub, Kociewia, Powiśla i Żuław, do których docierają — nie raz w wielkim trudzie — aktorzy i personel techniczny Teatru Ziemi Gdańskiej, wyłączając grającego — jak to się mówi — w objazdach.

**Z**E mogłoby być lepiej i z tym poziomem artystycznym? Zapewne Biedy repertuarowe, nie najwłaściwsze zestawienia zespołu aktorskiego, angażowanie nie zawsze reżyserów wysokiej klasy — ileż to razy i przy służ okazjach wtykaliśmy kierownictwu. Lecz także wielokrotnie podziwialiśmy wartość zupełnie przyzwoitych przedstawień i odważne sięganie do najcenniejszych dzieł naszej i obcej dramaturgii.

Zajmijmy się jednak ostatnim przedstawieniem Teatru Ziemi Gdańskiej — „Spiskiem Mątyldy” Kazimierza Barnasia.

Oglądałem spektakl w Kartuzach i właśnie wracając późnym wieczorem do trójmiasta — wśród ciem-

ności i gęstej mgły — zrekapitulowałem jak wyżej problem postawiony przez Michała Misiornego.

Barnas — choć nie jest bez zasług dla spraw artystycznych trójmiasta — gdzie zaraz po wojnie organizował życie kulturalne, a następnie współpracował z Iwo Gallem w Teatrze „Wybrzeże” jako kierownik literacki (wystawił tu też premierę swej sztuki z życia lotników polskich w Anglii „Trasa”) — na pewno nie jest Molierem

„Spisek Mątyldy” to farsa, która chwilami ma pretensje do komediowego rozważania jakichś poważniejszych zagadnień. Zgodność głoszonych teorii z praktyką życia nr co dzień. Dziennikarz głoszący w swych artykułach i felietonach różne budujące prawdy, bankrutuje, gdy staje mu na drodze okna kobieta? Niby takie jest założenie, ale walka słów z czynami, czy też zasad moralnych z ich realizacją jakoś rozlatuje się w farsowych sytuacjach, które pod znakiem zapytania stawiają cały sens zamierzeń autora.

Alle przedstawienie ratuje wdzięk i uroda Mątyldy (Helena Sztark-Wizłło), sympatyczna sylwetka redaktora Witolda ((Zbigniew Gawroński) i żywiołowość Rufina (Ireneusz Karmon), z którymi współgrają z dużą dozą przekonania w to, co mówią: aktorka Lena (Maria Gerhardt), piękna pani Jadzia (Teresa Lepkowska) i aż nazbyt niesforny Jędrzek (Zygmunt Tadeusiak).

Reżyser „Spisku Mątyldy” Janina Orsza-Lukasiewicz nadała przedstawieniu dość wartkie tempo, które, niestety, nie potrafiło zlikwidować 20-minutowego opóźnienia, spowodowanego... słowem wstępnym o bihp. Pouczający skądinąd wykład, zaprawdę nie nadawał się jako prolog do farsy.

Scenografię kolorową i podkreślającą kostiumami zgrabne figury aktorek przygotowała Danuta Pogorzelska.

Jaka więc reasumpcja? Też pozycje w repertuarze można sobie było podarować. Robota aktorska natomiast zasługuje na skromną pochwałę.

Marek DULEBA



Scena z II aktu

Fot. T. Link